

STULECIE WINNYCH
— POCZĄTEK —

AŁBENA GRABOWSKA
STULECIE WINNYCH
— POCZĄTEK —

*Pamięci moich dziadków
oraz ojca – Zofii, Stefana
i Janusza Grabowskich.*



Nigdy wcześniej ani później Bronia nie bała się tak bardzo jak wtedy, kiedy stała przed ołtarzem w kościele pod wezwaniem świętego Floriana w Brwinowie i przysięgała Antoniemu miłość i wierność do grobowej deski. Serce tłukło się jej w piersi niczym oszalały z niepokoju ptak, a myśli krążyły dokoła, nie pozwalając się skupić na słowach księdza Tadeusza. Matka Boska Częstochowska przyodziana w sukienkę ze srebrnej blachy patrzyła znad ołtarza surowym wzrokiem, natomiast dwa putta trzymające koronę nad głową Królowej Polski wydawały się spoglądać na rozterki panny młodej z obojętnością. Bronka ze wszystkich sił próbowała słuchać słów księdza, ale im bardziej się starała, tym większy rósł w niej strach.

W dzień ślubu matka przyszła zbudzić ją nieco później niż zwykle. Niepotrzebnie jednak cicho stąpała po świeżo wyszorowanych deskach, ponieważ Bronka tej nocy nie zmrużyła oka. Kiedy matka weszła do izby, dziewczyna leżała z zamkniętymi oczami i czekała, aż rodzicielka dotknie jej czoła chłodną dłonią i powie, że to dziś. Dziś ostatni paniński ranek, dziś odda ją mężowi, dziś nie wróci do domu, dziś należeć będzie do kogo innego. Bronka знаła te słowa, gdyż słyszała je już po raz trzeci. Najpierw skierowane do Zochy, najstarszej siostry, potem do Jasi, drugiej z kolei córki Jadwigi i Mariana Wielichnowskich, teraz do niej samej. Wstała zatem natychmiast, pocałowała rękę matki, wysłuchała jeszcze kilku zdań zaczynających się od słowa „dziś”. Potem do izby weszły jej zamężne siostry i zgodnie z rodzinną tradycją wszystkie cztery uklękły wspólnie do modlitwy. Bronia, czy to z zimna, czy z niewyspania, dygotała na całym ciele. Gołe kolana

oparte na drewnianej podłodze bolały ją tak bardzo, że nie mogła skupić się na wypowiedzianych słowach.

– Święta Boża Rodzicielko – zagrzmiała matka.

– Módl się za nami – odpowiedziały chórem Bronia i jej siostry.

Odmawiały Litanię loretańską każdego poranka, ale dopiero dziś uświadomiła sobie, że pierwsze wezwanie Najświętszej jest związane z urodzeniem Boga. Wstrząsnął nią dreszcz. Czego się boisz, skarciła się w myślach. Ufaj Bogu, ciebie On nie wybrał ani tak nie doświadczy jak Najświętszą Panienkę. Nie będziesz musiała patrzeć jak twój syn dorasta, nie bierze sobie żony, a w końcu umiera w męczarniach. Tobie niepisane takie doświadczenia. Ty do takich przeżyć jedynie się modlisz, przekonywała samą siebie.

– Matko nieskalana, módl się za nami. Matko najczystsza, módl się za nami. Matko Dziewicza, módl się za nami... – powtarzała skupiona, a ucisk w jej piersi nieco zelżał.

Zocha, najstarsza siostra, mężatka od czterech lat, miała już dwóch synów, obecnie oczekiwała trzeciego dziecka. Druga, Jasia, poślubiła dwa lata temu drwała Józefa. Jeszcze nie doczekali się dzieci, co w rodzinie wzbudzało niepokój. Na intencję zaciężenia Jaśki co wieczór poświęcano jedną modlitwę. Czy będę miała tyle dzieci co Zocha, czy też mama modlić się będzie za mnie jak za Jaśkę, uciekła myślami Bronia.

– Królowo Różańca Świętego, Królowo rodzin, Królowo pokoju...

Kiedy była mała, myślała, że chodzi o pokój w domu bogacza, u którego służyli i matka, i ojciec. U nich w domu były izby, stąd brało się jej przekonanie o tym, że Matka Boża króluje we dworach, a nie w ubogich chatkach. Dopiero kiedy podrosła, zrozumiała, że Matka Boża chce być królową świata bez wojen. Jakże piękne się to wydawało. Litanie to modlitwa kobiet, dlatego oczywistym było, że Najświętsza Panienka żądała pokoju na świecie jedynie od niewiast. Mężczyźni, którzy nigdy tej litanii nie odmawiali, nie musieli się do woych słów stosować.

– Królowo Polski – brzmiało ostatnie wezwanie.

Przywoływanie Polski, której nie było, sprawiało jej ból. Prze-goń obcych z naszej ojczyzny, prosiła zawsze na koniec modlitwy, chociaż podsłuchiwała kiedyś rozmowę księdza z doktorem, że wolność ojczyzny może się ziścić tylko wtedy, kiedy światem wstrząśnie wojna. Miała głęboką nadzieję, że tak się nie stanie, a wolność uda się uzyskać za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny, która w końcu odda Polakom swoje królestwo. Bronka zatem milkła, kiedy matka dodawała od siebie: „O wojnę powszechną, o wolność ludów, prosimy cię, Panie”. Nie chciała o to prosić. Może już przeczuwała, że wiele lat później przyjdzie jej przeżyć dwie wojny i wylać morze łez nad trupami bliskich. Wzdrygnęła się po raz kolejny, a troskliwa jak zwykle Jasia zdjęła z ramiona swój szal i okryła nim plecy Bronki. Ta poczuła ciepło ciała Jasi i siłą powstrzymała się, aby nie wybuchnąć płaczem.

– Módl się za nami – powtórzyły jak echo dziewczęta. – Amen.

Bronia wstała z kolan i stęknęła cicho. Nie rozmasowała ich jednak, nie chciała wygładzić skóry, na której odcisnęła się podłoga tak drogiej jej izby. Może mój mąż podaruje mi chatę, w której deski są równe, a drzazgi nie wchodzą w ręce podczas szorowania i w kolana w czasie modlitwy, pomyślała, siadając na krześle. Matka pocałowała Bronkę w głowę i wyszła z pomieszczenia. Jasia wniosła grzanego w misce i pomogła Broni rozpleść warkocz. Rok wcześniej Bronka to samo zrobiła dla niej, bowiem kolejną tradycją było przygotowanie panny młodej do ceremonii zaślubin przez starszą siostrę. Jasi powinna zatem służyć Zocha, ale dwa dni przed ślubem Jasi powiła Karlika. Jeśli było coś bardziej niewłaściwego od tego, żeby młodsza siostra pomagała starszej szykować się do ślubu, to tylko obecność przy dziewiczych ablucjach kobiety w połogu.

– No już – zachęciła ją Jasia.

Bronia miała najpiękniejsze włosy z całej trójki. Jasne, ale o orzechowym odcieniu, mieniące się złociście, szczególnie w słońcu. Gruby jak przegub warkocz zakręcała dwa razy wkoło głowy.

– Kiedy panienka czesze się w koronę, to jakby prawdziwą koronę na głowie miała – powiedział do niej Antoni, a ona się zakochała w tych słowach, bo zawsze słowa kochała i tylko te dobre sprawiały, że coś czuła.

Pochyliła się posłusznie nad miską i pozwoliła Jaśce umyć sobie głowę żółtkami i opłukać włosy piwem. W końcu to był dzień jej ślubu, a w rodzinie Wielichnowskich nigdy nie żalowano żółtek, kiedy któraś z dziewcząt wychodziła za mąż.

– Zobacz, przyniosłam ci moje wstążki. Tak ci się podobały, pamiętasz? – uśmiechnęła się Jaśka.

Siostra nie była jej bliska. Chociaż starsza jedynie o rok i do dnia jej ślubu spały w jednym łóżku, to niewiele ze sobą rozmawiały. Z Zochą było podobnie. To raczej ona i Jaśka powinny spać obok siebie. Kiedy Zocha szła za swojego Tadeusza, Jaśka płakała całą noc, aż Bronia była zła na nią, że jej spać przeszkadza.

– Przecież nie idzie ani za marynarza, ani za górnika i nigdzie nie wyjedzie – tłumaczyła jej. – Przeciwnie, będzie mieszkała za miedzą.

– Ale to inaczej będzie, kiedy dom opustoszeje – chlupała Jasia.

– Zaraz dzieci jej Tadek narobi, to znów będzie hałas – powiedziała wtedy Bronka, a Jaśka zrobiła się czerwona jak burak i odwróciła się do niej plecami.

Bronka też się wtedy zawstydziała. Nie używała takich słów, licho wie, co ją podkusiło. Może miała żal, że siostra tak Zochę kocha i życia sobie nie wyobraża bez niej. Powiedziała o „majstrowaniu dzieci”, żeby Jasi zrobić przykrość, dać do zrozumienia, że kto inny zawładnie jej ukochaną siostrą, że ona dla kogo innego będzie tą najmilszą. Tadek był wyjątkowy. Od razu było widać, że

dobry chłop. Do domu po robocie wracał i jeszcze chałupę żonie wybudował. Ziemię mieli po jego rodzinie, bo Tadek był jedynakiem. Jego matka zmarła rok po tym, jak go na świat powołała, na gruźlicę, a jego wychował ojciec, który nigdy się ponownie nie ożenił. I Tadek żył po bożemu. Za matkę się w kościele modlił, dwa lata tajnej szkoły powszechnej skończył, bo zaraz do roboty poszedł, ojcu pomagać. W niedzielę po mszy z ojcem do domu szedł, nie do karczmy, a kiedy tylko wiek męski osiągnął, to się za najładniejszą panną obejrzał, a że porządny, to i panna go chciała. Nikt wątpliwości w rodzinie nie miał, że Zosia dobrze trafiła i z Tadekiem będzie szczęśliwa. Bronka lubiła Tadka, ale wydawał się jej za prosty dla Zochy. Co to za mąż, który ledwie się umie podpisać, pytała Jasi, ale ta machała ręką i tłumaczyła Bronce, że oni przecież są chłopami i komu co dobrego z pisania przyjdzie. Zwłaszcza po polsku, bo po rosyjsku to nawet gdyby dopłacali, toby Tadek nie chciał, dodawała.

– Podpisać się umie i przeczytać co trzeba – wyjaśniła Bronce matka. – W Brwinowie nie ma bogatszego. Zosi chleba nie zabraknie.

I zaraz wszyscy zapomnieli, że Wielichnowscy nie zawsze byli chłopami, bo sam Władysław IV nadał ich prapraprapradziodowi tytuł szlachecki i herb Poraj w uznaniu zasług dla Korony. Potem ów prapraprapradziod jedną z dwórek za żonę pojął i wydawało się, że przed rodziną świetlana przyszłość. Tyle że z tego małżeństwa zaraz po kilku miesiącach syn przyszedł na świat i przodek zrozumiał wtedy, czemu to król taki dla niego łaskawy i chłopca Józka Lichnego w szlachcica Józefa Wielichnowskiego zmienił. Bo do tyłu to liczyć umiał, żeby się doliczyć, że żona w czasie nocy poślubnej to już dawno musiała być po spółkowaniu z kim innym. Ale nic z tą wiedzą począc, nomen omen, nie mógł i musiał żonę w domu trzymać. Ojcem chłopca, który się urodził, był zapewne jakiś niedobry człowiek, bo syn od najmłodszych lat przejawiał

predyspozycje do nieróbstwa i warcholstwa. Szlachcicowi obić synowski tyłek nie wypadało, chociaż może i próbował, ale z marnym skutkiem. Żona po porodzie całkiem się przestała do Józefa odzywać, bo i po co, kiedy swoje zrobił. Zatem chłopiec, kiedy dorósł, cały majątek przepił i jeszcze ziemię zastawił. Józef umarł ze zgryzoty, wkrótce potem i matka, gdyż syn nawet jej nie okazał synowskich uczuć. Feliks, bo tak go nazwano, próbował jeszcze jakiegoś majątku się dorobić, przymawiał się tak długo we dworze, że w końcu dano mu za żonę jakąś pannę, która nie miała wielkiego majątku, ale ponoć była dobrą kobietą. Dzieci z tego związku było kilkanaścioro, z czego przeżyła czwórka, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Jedni byli mniej robotni, inni bardziej. Jedni mieli więcej szczęścia w życiu, inni mniej, tak jak to bywa wszędzie, nie tylko w podwarszawskich wsiach. Jedno ich łączyło – wszyscy ubożeli z pokolenia na pokolenie, chociaż jeden klan Wielichnowskich bardziej, inny mniej. Rodzice Józefa Wielichnowskiego jako pierwsi opuścili Podlasie i przenieśli się do Brwinowa. W domu mówiło się, że ojciec Józefa, który był kolejarzem, chciał do samej Warszawy jechać, bo jak twierdził, sroce spod ogona to on nie wypadł, a poślubił najpiękniejszą i najmądrzejszą pannę, do tego miastową, która umiała pisać i czytać, podobnie jak on. Tyle że w Warszawie pytali, kim właściwie jest. Jak im powiedział, że szlachcicem, ale zubożałym, to go grzecznie odprawili. Zabrał się zatem z furmanką i panną młodą z zamiarem powrotu tam, skąd przyjechał, ale rodzinna legenda głosiła, że zatrzymał się na nocleg w Brwinowie i zdecydował, że tu zamieszkają, tu urodzą się jego synowie i tu osiadzie. Jak zdecydował, tak się stało, z tym że doczekali się z żoną jedynaka, a i urzędniakiem na kolei nie został, tylko zwykłym kolejarzem. W Brwinowie ziemię dostał na korzystnych warunkach, wydał na to prawie całe spieniężone wiano żony i tak zostali wieśniakami, tylko od czasu do czasu opowiadali synowi, a potem wnuczkom, o tym przodku,

którego to, wydawało się, takie honory spotkały. Miało być dobrze, a wyszło jak zwykle, mawiał ojciec Broni i śmiał się głośno, aż mu się wielkie wąsiska trzęsły.

Przyznać trzeba, że w zachowaniu ojca czuć było tę szlacheckość, która płynęła w jego żyłach. Żonę szanował, do domu zawsze po pracy wracał i był dumny z córek. Nie dość, że na stacji w Brwinowie pracował i pociągi witał i żegnał, to jeszcze ziemię uprawiał, plony dobre zbierał, z Ruskimi umiał się ułożyć. Kiedy wydawać się mogło, że Józef Wielichnowski przywróci rodzinie jej świetność, wybuchło powstanie styczniowe i Józef poszedł do walki. Jakimś cudem wrócił cały i zdrowy, wdzięczny Bogu za ocalenie, bogatszy nie tylko o wiedzę, jak się broń czyści i bagnet ostrzy, ale też że nigdy nijakim szlachcicem, nawet zubożałym, nie będzie. Bo szlachcice, te pany, co to ramię w ramię z chłopami walczyły, to miały Józefa za nic, za zwierzę co najwyżej, które może zasłonić ich szlacheckie ciała własnym, za kogoś dobrego jedynie na okopowego towarzysza, ale na pewno nie za kogoś, kto po bitwie może z nimi jeść przy jednym stole. I choć wszy równo gryzły panów i chłopów, to chłopów, w tym Józefa, jakby bardziej.

Kiedy wrócił do domu, to już nie było mowy o tym, że Wielichnowscy to szlachta. Już się nie słyszało „my im jeszcze pokażemy” ani „taka rodzina jak nasza...”. Zatem gdy Zocha przedstawiła Tadka drwala, co ledwie pisał i czytał, ale był najbogatszym kawalerem we wsi, to matka się popłakała ze wzruszenia, ojciec ucisnął przyszedłemu zięciowi rękę i nazwał go synem. I stało się tak, jak Bronka prorokowała. Tadek co rok majstrował Zośce syna, a ona wydawała się coraz szczęśliwsza. Kiedy w niedzielę po mszy przychodziła do ich domu rodzinnego i siadali z Tadkiem do wspólnego obiadu, jej chłopcy, Karolek i Gutek, śmiali się głośno, gaworzyli, a kiedy nauczyli się chodzić, ganiłi bez opamiętania po niewielkiej izdebce.

– Pięknie będziesz wyglądała, Broniu – Jasia obejrzała fryzurę siostry i cmoknęła z zadowoleniem, po czym podała jej lustro. Z lustra patrzyła na Bronkę poważna dziewczyna, nieco za bardzo wystrojona, trochę obca.

- Pięknie – potwierdziła, chociaż nie czuła się piękna.
- Tylko musisz się uśmiechnąć – zachęciła ją Jasia.

Bronia rozciągnęła usta w uśmiechu, ale zaraz kąciki ust jej opadły.

- Co się stało? – przestraszyła się Jasia. – Boisz się?

Dziewczyna pokręciła głową. Drugie kłamstwo w przeciągu kilku minut i to po Litanii loretańskiej. Nie chciała sprawić siostrze przykrości, ale cóż, kiedy nie czuła się piękna z Jasynymi wstążkami na głowie i bała się tak bardzo, że nie mogła oddychać. Jasia pogładziła ją po ramieniu.

– To nic takiego – powiedziała, nie patrząc na siostrę. – To jest po to, żeby ciebie Pan Bóg pobłogosławił.

Bronia nie wyprowadzała jej z błędu. Akt, który następował po ślubie, nie przerażał jej, może napawał jedynie niewielką obawą. Nie to było przyczyną jej lęków. W końcu wszystkie mężatki doświadczały tego czegoś i mało która się skarżyła. Skarżyły się raczej na pijaństwo mężów, nieróbstwo, na to, że ten i ów bije, ale że pod pierzyną coś było nie tak, to ona nigdy nie słyszała. Może się wstydziły, a może zawsze było tak, jak trzeba. Bronia bała się czegoś innego. Bała się, że ten Antoni, którego przecież dobrze nie знаła, będzie dla niej obcy. Tadek i Józek byli stąd. Znali ich wszyscy, matki razem w pole szły, ojcowie do pracy, dzieci chodziły razem do szkoły za kościołem. A Antoni? Mówił, że sierota i wszyscy mu pomarli. Czemu przyjechał właśnie do Brwinowa? „Bo tu najładniejsze panny są, tom przyjechał”, powiedział jej. Do dziś dnia uważała się za wybraną, wyjątkową. Ale co, jeśli w jego nazwisku, Winny, było zawarte ostrzeżenie dla niej?

– Ciebie także pobłogosławi – Bronka chwyciła Jasię za rękę. – Zobaczysz.

– Co Bóg da – uśmiechnęła się smutno, ale nie odwróciła już oczu. – Bądź spokojna i niech wam się darzy.

A jeśli nigdy nie będą dobrze żyli, ich dzieci nie będą się śmiały jak dzieci Zochy albo, co gorsza, nie będzie miała dzieci jak biedna Jasia i rodzinie dojdzie do modlitwy jeszcze jedna niebłogosławiona córka? Co się wtedy stanie? Kto wie, jak wtedy potoczy się jej życie. Serce znów zatrzepotało w jej piersi jak przerażony ptak.

– Dziękuję, Jasiu – powiedziała szybko, bo nie chciała, żeby siostra zaczęła jej opowiadać w szczegółach o tym, czego może się spodziewać w noc poślubną. – Już jest dobrze.

– Teraz koszula i spódnice – komenderowała Jasia, ubierając Bronię w kolejne sztuki garderoby, wyprane, wykrochmalone starannie i uprasowane żelazkiem z duszą pożyczonym od Zochy, bo ich własne nie nagrzewało się tak dobrze i nie prasowało tak dokładnie.

– I trzewiki – uśmiechnęła się na koniec Jasia, podając jej nowe, sprawione na ślub buciki, po które jeździli do Grodziska, do lepszego szewca niż ten brwinowski.

Bronia ponownie popatrzyła w podane jej przez siostrę lustro. Dziewczyna, która teraz na nią spoglądała, nie była już taka obca ani smutna. Może sprawiła to pasiasta spódnica, pasująca kolorami do wstążek we włosach, a może udzieliła się jej życzliwość siostry. Bronia uśmiechnęła się do swojego odbicia.

– Gotowa – podsumowała Jasia i powiodła Bronkę do kuchni, gdzie już czekała Zocha z matką, obie odświętnie ubrane i gotowe, aby najmłodszą córkę do ślubu prowadzić, oraz ojciec, inny zupełnie, wyprostowany i uroczysty.

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko – powiedziała matka, a Bronia chciała krzyknąć: „Wiem, mam mieć dzieci jak Zocha,

a nie jak Jasia, wszystko rozumiem, tylko czy to ode mnie zależy?”. Zamiast tego spuściła skromnie oczy i powiedziała:

– Dziękuję, mateńko, za te lata troski, za twoją miłość, za hojny dar życia.

– Bądź zdrowa, córko, i dbaj o siebie – dodał ojciec, a Bronia, jej siostry i nawet matka zastygły w zdumieniu. Ojciec powinien powiedzieć, żeby służyła mężowi, żeby dbała o niego, nie o siebie. On zaraz wyczuł niepokój swoich kobiet, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Bronka jest posłuszna i nie mam wątpliwości, że będzie dobrą żoną. Dlatego życzyłem jej, aby była zdrowa. Jak człowiek ma zdrowie, to wszystko inne też będzie miał. A jak nie zadba o siebie, to z sił opadnie i żaden z dziewczyny pożytek, choćby kark do ziemi zginała.

Zocha i Jasia spojrzały po sobie. Im ojciec nakazał tylko posłuszeństwo mężom.

– Tak, ojczy – powiedziała Bronia. – Dziękuję ci za twoją dobroć, surowość i odpowiednie wychowanie.

Matka uroniła łzę, a ojciec poklepał ją twardą, ciężką ręką po policzku. To była pieszczota, ale Bronię zapiekła skóra, jakby ją ojciec uderzył. Znowu zachciało się jej płakać.

– Bądź mu posłuszna – powiedział w końcu, a siostry odechnęły z ulgą, bo wszystko wróciło wreszcie na swoje miejsce, słowa też.

Pokiwała głową. Matka była posłuszna ojcu, jak dobra żona powinna być posłuszna mężowi. Ojciec był temu posłuszeństwu rad. Łatwo być posłusznym komuś takiemu jak ojciec Zochy, Jasi i Broni. Mężczyźnie wielkiemu jak góra, ale łagodnemu jak baranek. Zarówno matka, jak i one zawsze chciały się ojcu przypodobać. Bo też ojciec miał dla nich wiele miłości i życzliwości. Tak, właśnie życzliwości. Nie umiała powiedzieć, czy ojciec je kochał. To słowo było zbyt wielkie i niezrozumiałe. Może było tylko

„pańskie”, kto to wie. Na pewno ojciec patrzył na nie życzliwie, może nawet lubił Bronkę i jej siostry, cieszył się, że je ma.

U nich w domu nie było bicia. Ojciec nigdy na matkę ręki nie podniósł, a na nie palca nie zakrzywił. Inna sprawa, że one grzeczne były, pracowite, pobożne i miłe. „Moje dziewczynki”, mawiał. Może wołały synów, którzy pracowaliby z nim ramię w ramię, z którymi mógłby po robocie usiąść i wspominać dawne czasy, szczególnie tamte mroczne, kiedy do powstania poszedł. Z córkami niczego nie wspominał, o bitwach nie opowiadał, ani o odniesionych ranach, może jedynie o rozczarowaniu mówił, i to tylko matce. A może wcale tak nie myślał, tylko Bronka sobie tak ubzduriała w głowie, żeby zrozumieć, czemu ojciec w takich ciężkich czasach, spokojny i wszystkim życzliwy.

Raz jeden widziała go rozsierzonego. Kiedy przyjechał brat matki z niesympatyczną ciotką i dwoma synami, którzy zerkali na Wielichnowskie spode łba. Wuj rozsiadł się, kazał „swojej babie” w kuchni siedzieć, siostrzenicom obsługiwać synów, a po wódce zaczął uzalać się nad biednym ojcem, że trzy córki ma, nieszczęście wielkie i skaranie boskie. Bełkotał coś po pijaku o tym, że kobiecych tyłków trzeba pilnować, prać regularnie, patrzeć, czy równo puchnie, czy winne czemu, czy nie. Ojciec się wściekł, Bronka przeraziła się wtedy, bo żyły mu wyszły na szyi, grube i twarde jak postronki, ale widać zaraz odwołał się do swojej natury, bo złagodniał. Widocznie uznał, że gościnność sprawa najważniejsza, dlatego popił ze szwagrem, pochwalił jego synów, że takie silne chłopcy, i z ulgą pożegnał gości. Nigdy więcej do nich nie przyjechali.

Kiedyś ojciec opowiadał, że matkę poznał, gdy pojechał w rodzinne strony na pogrzeb dziadka. Piorun w niego strzelił, jak zobaczył wielkooką dziewczynę o smutnej twarzy i pięknych czarnych włosach. A potem to już szybko poszło. Przyszłym teściom się pokłonił, zapewnił, że ma dobrą pracę, urodzajne pola

i dziewczynę zabrał. Bronia nie raz zastanawiała się, czy matce nie żal, bo do rodzinnego miasta jeździli niezwykle rzadko. Babka odwiedziła ich kilka razy, dziadek nigdy. A kiedy pytała o niego i wujów, nieodmiennie dostawała taką odpowiedź: „Bracia głupi byli, a ojciec ciężką miał rękę. Bił nas tak, że krew szła. Za nic. Bo lubił bić”.

Bronka była ulubienicą ojca. „Pewnie dlatego, że najmłodsza”, powiedziała kiedyś mama do Zochy, która gniewała się, że Bronkę ojciec kocha najbardziej.

– Nieprawda, nie dlatego – powiedziała wtedy Jasia. – Dlatego że najładniejsza.

– Nie jest najładniejsza – zaprotestowała Zocha. – Ty, Jasiu, jesteś z nas najładniejsza.

– Nieprawda, bo ty – dosłyszała głos Jaśki.

Matka wtedy roześmiała się.

– Wszystkie jesteście ładne, a ojciec nie kocha nikogo najbardziej. Ja też nie.

– Mama wie, że to nieprawda. Jak Bronia coś zmaluje, to jej nic, a nam... – powiedziała gorko Zocha.

Miała wtedy rację. Kiedy któraś z nich zepsuła coś albo wykazała się bezmyślnością, mama gniewała się i to było okropne. Robiła się wtedy taka mała i smutna, a z jej twarzy wyzierała rozpacz, że ma takie leniwe i niezdarne córki. Tak się działo, kiedy któraś nie zasłoniła dość dobrze śmietany i mysz do niej wpadła albo gdy nie zabezpieczyła masła i zjelczało, albo na czas nie przegotowała mleka i się zwarzyło. To prawda, że podobne rzeczy zdarzały się wyjątkowo rzadko, na palcach jednej ręki policzyć, ale się zdarzały. Najczęściej Broni. I kiedy Zocha rozdarła niedzielną suknię o gwóźdź, chociaż przecież nie chciała tego zrobić, mama płakała cały dzień, jakby to nie był zwykły materiał, tylko czyjeś ciało. Zocha zszyła suknię i prawie nie było śladu, ale matka i tak chodziła jak struta. Pocieszały wtedy rodzicielkę, ale pocieszyć

nijk się jej nie dało. Wreszcie Bronia nie wytrzymała, zaprowadziła Zochę do izby, w której siedziała matka, pochlipując, i krzyknęła:

– Zbij ją i przestań dręczyć!

– Ja nie dlatego... – odpowiedziała. – Wybaczcie mi – dodała, po czym wyszła w pole i nie było jej aż do wieczora.

Zocha miała rację – jedna Bronia umiała matkę poskromić i sprawić, żeby przestała się martwić. Czy to się wiązało z większą miłością, Bronia nie była pewna.

– Przyniesiesz szczęście mężowi – zachwyciła się Jasia.

Antoni będzie moim szczęściem, pomyślała Bronia. Będę z nim szczęśliwa. Nie tak jak w książkach, bo takiego szczęścia naprawdę nie ma, tylko po wiejsku, ale będę.

– Chodźmy – rzekła i uśmiechnęła się do rodziców i sióstr.



Kiedy tylko przestąpiła próg kościoła, wątpliwości wróciły ze zdwojoną siłą. Prosiła Najświętszą Marię Pannę o wstawiennictwo i wszelkie łaski. Gdy myślała o łaskach, nie chodziło jej o dar posiadania dzieci, ale o to szczególne uczucie miłości, którego chciała doświadczyć u boku męża. Niech on mnie kocha, modliła się. Niech trwa u mego boku, dodawała. Niech mnie zrozumie. To ostatnie nie było dla niej samej jasne. Nie umiałyby powiedzieć, co się kryło za tym zrozumieniem. Wydawało się to jej jednak ważne. Nawet bardzo ważne.

– Podajcie sobie ręce – powiedział ksiądz po polsku, kiedy skończył oficjalne łacińskie nabożeństwo i zwrócił się do młodych.

Znała go od dziecka. Proboszcz Tadeusz był dobry, z okazji świąt zawsze miał dla dzieciarni cukierki. Bon bony, jak je nazywał. Rozdawał je i tak się cieszył, kiedy dzieci je jadły i pytały, czy to sam Pan Bóg z nieba takie pyszności im przysłał. Kto wie, skąd je brał.

Ksiądz, który mówił, że Bronia powinna urodzić się chłopcem, bo taka jest bystra i mądra, że szkoda takiego sprytu dla dziewczynki. Kiedy była mała, lubiła tego słuchać, a gdy podrosła, zrozumiała, że słowa księdza mają swoje uzasadnienie, i poczuła to, co czuł ksiądz. Też żałowała, że urodziła się dziewczynką. Bo Bronia najbardziej na świecie chciała się uczyć. Nic nie sprawiało jej takiej przyjemności jak rachunki, czytanie pięknych wierszy Adama Mickiewicza, nauka o roślinach i zwierzętach. Gdzieś tam na świecie były dalekie kraje, a Bronia nabierała świadomości, że nigdy ich nie odwiedzi, że nigdy nie pozna, tylko dlatego, że nie jest chłopcem.

Niedługo potem przekonała się, co dokładnie ksiądz Tadeusz miał na myśli, i złamało jej to serce. Ksiądz wybrał jednego chłopca, Heńka Damięckiego, i posłał go do szkół, bo Heniek chciał się uczyć na księżyczka. Bronia znała go dobrze, gdyż razem dorastali w sąsiadujących ze sobą obejściach. Trudno o chłopca, który mniej pasowałby na duchownego. Pamiętała z dzieciństwa obraz Świętego Franciszka otoczonego przez ptaki i zwierzęta. Heniek nienawidził zwierząt. Dręczył bejski koty, urywał konikom polnym nogi i wsadzał je do mrowisk, niszczył ptakom gniazda i ganiał kury po obejściu, za co ojciec nie raz mu tyłek pasem złoł. Henryk nie był dobrym dzieckiem, ale był chłopcem i kiedy tylko powiedział, że chce się uczyć, ksiądz Tadeusz zabrał go, gdzie trzeba, i wszystko załatwił. Płakała wtedy cały dzień i nikomu nie chciała powiedzieć dlaczego.

– Tą stulą, którą wiąże wam ręce... – przez mgłę jej świadomości przebiły się słowa duchownego.

Uniosła wzrok i popatrzyła w twarz dobremu księdzu. Nagle poczuła chłód materiału, który łączył dłonie jej i Antoniego. Antoni ścisnął jej palce. Spojrzała wtedy na niego i za sprawą tej stuley wrócił spokój. Strach zniknął jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, a wspomnienia z dzieciństwa i domu rodzinnego odpłynęły w dal.

– Czy ty, Bronisławo... – usłyszała.

Zza głowy Antoniego przebiło się światło. Zobaczyła go otoczonego niemalże aureolą, niczym anioła, i bardzo chciała wierzyć, że jest ową niebiańską istotą, która ześle jej szczęśliwe życie.

– Tak, chcę – powiedziała.

– Czy ty, Antoni... – zaczął ksiądz.

Antoni spojrział na nią i znów ścisnął jej rękę. Tak, zdawał się mówić. Tak, bardzo cię chcę. Jego oświadczenia były takie niezręczne. Inne niż w książkach, które pożyczyła jej nauczycielka ze szkoły.

– Czy ty byś mnie chciała? – spytał.

Zabrał ją wtedy na tańce. Wstydziła się strasznie i zastanawiała, co się stanie, jeśli tym razem nie zatańczy dość dobrze, ale kiedy tylko muzyka zagrała, jej nogi same zaczęły się ruszać.

– Że co? – nie zrozumiała.

– Przyjechałem tu, bo w moich stronach nie ma pracy dla zduna – powiedział, po czym tak nią zakręcił, że niemal upadła. – I zostaję.

– Jak to nie ma? – spytała, kiedy odzyskała równowagę.

– Ano nie ma – stwierdził takim tonem, jakby w Kieleckiem nie musieli palić w piecach.

– A czemu przyjechałeś akurat tu? – dociekała niezbyt mądrze, ale on się nie obraził.

– Był u nas taki Romek – powiedział. – I ten Romek miał tu dziadków. Tu, w Brwinowie. Pojechał za robotą, ale roboty nie dostał. Wrócił i opowiadał, że u was kolej, że u was nowe idzie, że ludzie dobre, a panny piękne. To przyjechałem. I widzę, że Romek miał rację. Ludzie u was są życzliwi. Zaraz pokój znalazłem, przy dobrej rodzinie, zaraz też pracę dostałem, na początek mało płacili, ale kiedy zobaczyli, co potrafię, to roboty mam już dużo. Panny też tu piękne – uśmiechnęła się do niej.

– Tak? – spytała. – To czemu mnie zapraszasz na ciastka i tańce?